ROZMAITOŚCI.

Dnia 26. Sierpnia. № 34. Roku 1857.

Mikołaja Kopernika portrety i wizerunki.

Przez Felicyana Łobeskiego.

(Obacz Nr. 29. 30. 31. 32. 33. Rozmaitości.)

Najsamprzód przywiedziemy ustępy z życiorysu Tychona Brahego, odnoszące się do żywota a właściwie tylko do wizerunku Kopernika.

Opisując tedy Gassendi gwiazdarnia przez Tychona w Oraniburgu założoną, tak co do wizerunków w ogóle tam zamieszczonych jako i co do wizerunku Kopernika donosi:

Praetereo rursus Tychonem ad haec, caeteraque opificia conduxisse semper quoscumque: nancisci artifices eximios potuit, ut Joannem de Embda Architectum, Joannem Crolium aurifabrum, Joannem de Antverpia pictorem (idque praeter jam memoratum Gemperlinum) et plerosque alios. Praetereo proinde ornamenta varia, ac speciatim effigies praecipuorum Astronomorum, Hipparchi, Ptolomaei, Albategnii, Copernici, Land-gravii ipsius, quas in Musaeo collocavit; ac rursus, quas in hypocausto, Timocharidis, Hipparchi, Ptolomaei, Albategnii, Alphonsi, C o p e r n i c i, s u i i p s u i s. *Praetereo demum inseriptiones, et carmina varia, sed in commendationem ejusmodi* Astronomorum; *inque iis potissimum Ptolomaei et* C o p e r n i c i; *et ex hisce duobus maxime posterioris. De Tychonis Brahei Vita.* str. 37.

Na innem znów miejscu:

Praetereo autem, cum initio Octobris Elegiacum carmen condidisset in Ptolomaei effiigiem, quam in Musao, cum aliis plerisque constituerat; condidisse quoque subinde in effigiem Copernici, allatam fortassis ab eodem Olao; siquidem ea ipsa fuisse dicitur, quam Copernicus sua manu prinxisse perhibitur. Praetereo etium, cum Stellae-burgum hocce anno, uti jam ante deduximus, constructum fuerit, ac in medio illo hypocausto fuerint acto Astronomorum collocatae effigies, et in iis etiam Copernici, fuisse singulis disticha singularia subscripta. De Tychonis Brahei Vita. str. 58.

Do tych słów nic tu z naszej strony dodać niemamy, i sądzimy, niepotrzebujemy; kto im rad przeczyć i kłamstwo zarzuca, niechaj je d o w i e d z i e.

To tu także uważamy powiedzieć za potrzebne, że miedzy wizerunkami Kopernika w muzeum czy też w obserwatoryum Tychona, a miedzy wizerunkami tego męża gdzieindziej równocześnie znajdującemi się a światu ówczesnemu zadość zapewne znanemi, musiało zachodzić podobieństwo i tożsamość, inaczej ten ówczesny świat niebyłby zniósł żadnego fałszu w tym względzie, a postrzeżony, czyli wiadomość o nim, byłby nam przekazał niechybnie.

I z t a m t ą d to a nie zkądinąd, z tamtych czasów i z takich miejsc, doszły aż do nas Kopernika wizerunki.

Teraz wyjątki z życiorysu Kopernika przez tegoż autora; naturalnie tylko wyjątki tyczące się wizerunku Kopernika, lub cokolwiek z nim styczność mieć może.

Najsamprzód powtarzamy tu jeszcze raz owe na wstępie przytoczone słowa odnoszące się do tej okoliczności, że Kopernik umiał, ma się rozumieć w pewnych granicach, malować, i w jaki sposób doszedł do tego.

Słowa te brzmią:

Cum parteis vero omneis Matheseos curaret, tum Perspectivae speciatim incubuit, ejusque occasione Picturam tum addidicit, tum eousque calluit, ut perhibeatur etiam se ad speculum eximie pinxisse. Nicolai Copernici Vita. str. 293. *Consilium autem*

pingendi ex eo cepit, quod peregrinationem, ac potissimum in Italiam cogitans, in animo haberet, non modo umbrare, sed graphice etiam, quantum posset, exprimere quiquid occureret observatu dignum.

Nareszcie cały żywot naszego Astronoma kończy Gassendi tym interesującym dla nas bo tyczącym się wyłącznie tylko wizerunku Kopernika ustępem, a to jak następuje:

Nunc, cum de ejus facie corporisque habitu superesset quidpiam dicendum; nihil tamen licet jam nobis aliud, quam exhibere ipsius effigiem, cujusmodi expressa habetur inter virorum illustrium, quae apud Boissardum sunt caelatae, icones. Curavi solum ipsi appingi diploidem pelliceam, qualem se observasse Bulialdus noster memoravit in ea effigie, quae Argentorati visitur, qua Ecclesiae parte celebre horologium machinale exstat, qualemque eximius Berneggerus, qui ante annos plus minus triginta advehi ex Prussia effigiem procuraverat, representari voluit in fronte Galileanorum Dialogorum, cum illos postquam latinitate donavit, primum edidit. Nicolai Copernici Vita. str. 320.

Dowiadujemy się tu zatem, najprzód: że Gassendi, który o tyle żył bliżej życia Kopernika, który nam zostawił w swem dziele jak najgruntowniejsze, i on jeden jak najgruntowniejsze z dawniejszych o nim wiadomości, na których wszyscy poźniejsi pisarze, tak krajowi jak zagraniczni, we wszystkiem co się życia tego męża dotyczy, opierają się i opierać się muszą; — że mówimy, Gassendi wierzył w autentyczność exystujących za jego czasów Kopernika wizerunków; [1]) inaczej byłby tu o nich na tem miejscu nie wspomniał, lub wspomniawszy, byłby tę nieautentyczność, gdyby ją spostrzegał, wytknął i wyświecił; gdyż niepodobna, aby mu w tym względzie oczywistych i najpewniejszych niedostawało oznak, źródeł i pomocy. — Powtóre dowiadujemy się tu: że z pośród tych podówczas istniejących Kopernika wizerunków, tenże Gassendy, ów sumienny i umiejętny znawca i układacz żywota tego męża, jako najautentyczniejszy czyli najpodobniejszy uważał wizerunek Boissardowy; *nihil licet jam nobis aliud, quam exhibere ipsuis effigiem, cujusmodi expressa habetur inter virorum illustrium, quae apud Boissardum sunt celatae, icones;* (ten sam, który na rycinie pana Oleszczyńskiego ma podpis: *Copernicus Iconothecae Boissardianae*, oraz i drugi z podpisem: *Copernicus horologii Argentorati* — gdyż z jednego widocznie pochodzą źródła; ten sam przeto, który zapewne i Torwaldson miał przed sobą, lecz snać niezaglądał do Gassendego, lub nieuważał za potrzebne. [1]) — Dalej że pomieniony autor mając zamiar ozdobić czyli zaopatrzyć swe dzieło Kopernika wizerunkiem, wybrał do tego ów Boissardowy; i tylko według wzoru obrazu wieży Sztrasburgskiej miał postać na nim wyrażoną kazać przywdziać w szatę futrzaną; [2]) *curavi solum ipsi appingi diploidem pelliceam, qualem se observasse Bullialdus noster memoravit in ea effigie, quae Argentorati visitur, qua Ecclesiae parte celebre horologium machinale exstat.* — Nareszcie dowiadujemy się: że tenże sam wizerunek, i w takimże stroju, to jest w szacie z futrem, *(qualemque)*, chciał Berneggerus umieścić przed dziełem: *Dialogi Galileani*, (czyli go istotnie umieścił, niedowiadujem się z tego ustępu Gassendego, a dzieła tego to jest owych Dyalogów niemieliśmy sposobności poznać); naostatek, że wizerunek wyobrażający Kopernika w szacie z futrem, sprowadził najprzód, t. j. on pierwszy, tenże Berneggerus z Prus, — *qualimque advehi ex Prussia effigiem procuraverat*, zapewne z Frauenburgu lub z Torunia; że zatem, co do stroju, dotąd Kopernik był przedstawianym tylko w todze lub w szacie kanoniczej, i że dopiero po sprowadzeniu wizerunku Kopernika przez Berneggera, najprzód przez Gassendego a potem i przez innych użyte zaczęły się pojawiać w zimową szatę przybrane Kopernika wizerunki. [3])

---

[1]) Uważmy, że te same Kopernika wizerunki dochowały się aż do dni naszych.

[1]) I my tu jedynie na powadze Gassendego nie chcemy poprzestać, i starać się będziemy jak dotąd tak i dalej tylko zbiegiem okoliczności i przez niewątpliwe znamiona dójść do autentycznych lub autentycznego Kopernika wizerunku.

[2]) Dla czego na rycinie p. Oleszczyńskiego, Kopernik *horologii Argentorati* jest tu bez futra, gdy Gassendi i inni owcześni takim go być znali, t. j. w szacie z futrem; o sprzeczności tej nie widząc pierwowzorów sądzić niemożem.

[3]) Rzeczą to bardzo naturalną, że dopokąd Kopernik zamieszkiwał we Włoszech, mógł być i był tylko w letnim stroju malowanym; lecz odkąd zamieszkał w Polsce, jużci sztuka przywdziała go w szaty północy. Ztąd to prawie wszystkie wizerunki przodków naszych widzimy w owych pięknych szubach futrzanych.

Przypominamy, że Bandtkie w przytoczeniu dzieła Reusnerowskiego jako zawierającego najdawniejszy wizerunek Kopernika, powiedział zarazem, iż Reusnerowski ten wizerunek przeszedł następnie do dzieła Boissarda.

Konkludujemy więc znów (jeżeli zresztą twierdzenie to ostatnie Bandtkiego jest zupełnie pewnem, a co nam się ze zbiegu i z zestawienia okoliczności niewątpliwem być wydaje), konkludujemy więc znów część tę naszą o dziele Gassendego postawieniem tego z naszej strony twierdzenia:

Że wizerunki Kopernika, jako to: Reusnerowski, Boissardowy, Sztrasburgski, następnie Gassendego, a zapewne i wizerunek przy dziele: *Dialogi Galileani*; tož wizerunki na rycinie p. Oleszczyńskiego z podpisami: *horologii Argentoratini* i Iconothecae Gassendianae; jako nareszcie też i ów nasz znaleziony w powyżej przywiedzionej książce: *Imagines* etc. per Walerium Andream: że mówimy, wszystkie te wizerunki są jednemi i temiż samemi, a najwięcej tylko modulacyami, ale zawsze jednego głównego pierwotnego wizerunku, i to wizerunku typu z kwiatkiem czyli konwalią w ręku, który okazuje się, iż jest najdawniejszy; że zaś na wizerunku Sztrasburgskim prócz konwalii w jednej ręce, w drugiej jeszcze księgę czy tablicę widzimy: to, jak to powyżej wypowiedzieliśmy, stało się niewątpliwie tylko przez dowolność owegoż tenże obraz malującego malarza, któren raz chciał zrobić swój utwor, jak rzekliśmy, więcej monumentalny; a powtóre chciał mieć miejsce na swym obrazie do umieszczenia słów, które chciał obwieścić, patrząc zapewne z poszanowaniem na leżący przed nim oryginalny wizerunek, słów: *Vera effigies Copernici ex authentico Autographo depicta.* Jest to pierwszy książkowy, drzewo- i miedziorytniczy Kopernika wizerunek, z napisem Sztrasburgskim lub bez napisu.

Gdzie jego źródło? Jestże nim rzeczywiście, jak napis Sztrasburgski obwieszcza, własną ręką Kopernika odmalowany pierwotwór? — Byłże on kiedy podarowany Tychonowi, i przez kogo? Dostałże się tym sposobem jak my to wspomnieli na wieżę Sztrasburgską, wyszedłszy wprost z Tychona komnaty; lub też może uprzednio zkądinąd nim mu był podarowanym? Alboliteż pochodząż te wyliczone dotąd i jako jedno-źródłowe podane Kopernika wizerunki z innego jeszcze jakiego źródła, i jakiego? Jestże nim, jeżeli wizerunek Reusnerowski istotnie jest najdawniejszym, wzmiankowane i domniemywane przez nas muzeum biskupa Jowinsza; lub na każden raz jakiś przez Reusnera, któren jak widzieliśmy takie skarby skrzętnie gromadził do siebie, wydobyty inny jaki a niezawodny pierwotwór? — te i tympodobne zapytania i wątpliwości jak trudno dziś wyśledzić i rozstrzygnąć, tak znowu, mimo świadectw tylu wiarogodnych autorów, wątpić w te wizerunki dla tego, jest to samo, co wątpić i w najnowsze tego rodzaju sztuki utwory, wątpić np. w wyobrażenia panujących lub innych jakich wczorajszych lub dzisiejszch sławnych ludzi, jak skoro nam się nieudało wiedzieć lub dójść imienia tychże utworów twórców, okoliczności dla których lub kiedy były podejmowane i t. p.

Powiedzieliśmy, że wizerunek Kopernika Gassendowy, należy do wizerunków Kopernika typu: z kwiatem w ręku; tymczasem na p. Oleszczyńskiego rycinie, Kopernik z podpisem: *Iconothecae Gassendinae*, trzyma godło astronomiczne w ręku. Sprzeczność ta nietrudna do wytłumaczenia.

Najprzód jest rzecz niewątpliwa, że Kopernik Gassendowy jest ten sam co Sztrasburgski, Boissardowy, zatem i Reusnerowski i t. d., świadczy to ta sama głowa i ta sama twarz; a powtóre, sam Gassendi zeznaje to: *Curavi solum ipsi appingi diploidem pelliceam:* a zatem kazał domalować **tylko** futro na wizerunku przez siebie, zresztą nic niezmieniał. I w istocie w całej figurze ta sama kompozycya i motywa; lecz zkądże zamiast kwiatu sfera w ręku? rzecz tę właśnie wytłumaczym.

Ktokolwiek malował ów jeden z najdawniejszych pierwowzorów Kopernika wizerunku, ów z konwalią w ręku; czy to Kopernik sam, czy kto inny: tyle tu zaraz na pierwszy rzut oka widno, że skromność wielka powodowała tą ręką, która to popiersie nakreśliła; a oraz jest tu nie do zapoznania i zamiłowanie, czy to w zawodzie lekarskim w ogólności, czy też w tej jego gałęzi, którą kwiat przedstawia. Że ta jedna już okoliczność, ten symbol rozlubowania się w tak pięknym zawodzie, i ta skromność, a nieodłączne zapewne od charakteru Kopernika, wielce tu przemawia za tem prawdopodobieństwem, że mogło być, iż Kopernik sam ten pierwotny wizerunek odmalował, lub nakreślił — trudno temu zaprzeczyć.

Aleź z wizerunkiem Gassendego inaczej rzecz się miała. Skromność Kopernikowa i

usymbolizowane pokochanie cichej nauki, nieprzystawały Gassendemu, który chciał unieśmiertelnić naszego Astronoma.

Ztąd Gassendy, zostawiwszy oblicze pierwowzoru, całą kompozycyą, nawet trzymanie ręki; wyjął tylko, czyli kazał z niej wyjąć ów kwiat konwalią, a dał dzierzeć godło astronomiczne, jako odpowiedniejsze dla męża, którego chciał światu przekazać.

I odtąd to dopiero, z zachowaniem tychże samych lic, poczynają się pojawiać Koperniki ze sferami w ręku, z cyrklami i globusami, po dziełach i po rycinach; naturalnie wyjąwszy obraz Bossailego, o którym będzie na swem miejscu.

Rozpisaliśmy się tu już tyle nad tym przedmiotem, podjęli tyle szczegółów, i wnikli w tyle aż do drobnostek; ależ bo każda rzecz ma swe strony wymagające stosownego opisu lub wykładu. Sądzimy, że materya ta niemogła być i niemoże inaczej przeprowadzoną. Rozpoczynają się często rozprawy o dzieła i druki; piszą się często komentarze nad jedną kartką lub okładką: miałożby dzieło Stwórcy, oblicze ludzkie, powłoka duszy, mniej zasługiwać na wagę, lub mniejszych potrzebować roztrząsań i rozmiaru? a dotego, jak tu; powłoka ducha, będącego ozdobą wieku, narodu, a nawet i ludzkości?

Czuł to zapewne tenże sam wspomniony Reusner, gdy w jednem z dzieł swych, a zwyż przywiedzionych, tak się wyraża:

Enim vero refert plurimum, si minus perfectam undique et absolutam, at leviter duntaxat adumbratam formam, seu effigiem sapientiae et virtutis, oculis quoquo modo intuendam contemplandamque proponere: bonorum et sapientiorum virorum exemplis ac simulacris propositis: qua et ipsa animos virorum bonorum honesto quodam gaudio compleri consentaneum est.

Wyznajem, że przedsiebiorąc tu wyśledzenie i dójście autentycznych lub autentycznego Kopernika wizerunku, my właściwie mamy na celu wyszukanie i wykazanie, nie, że powtórzemy, nie autentycznych, ale najautentyczniejszych Kopernika wizerunków; bo większą ich liczbę, śmiało to zeznajem, mamy za autentyczne, a zatem rozprawka ta nasza jest to raczej a przynajmniej w znacznej zarazem części obrona Kopernikowych wizerunków.

I zaprawdę żal nam się zrobiło, jak mogło tak piękne, tak ujmujące, i tak wiele zamykające oblicze niezadawalniać kogo, lub potomność; lub zniewalać ją do zrzeczenia się tych rysów, które gdybyśmy i ze światłem szukali, szczęśliwszych niewynajdziem, a nawet wykomponować trafniejsze, oryginalniejsze i zgodniejsze z tym charakterem, jaki nam o Koperniku wiadomy, trudno jest zaiste.

(D. c. n.)

ZBIORY ARCHIWALNE.

List.

Od Córki Carowy Moskiewskiej księżny Meklenburskiej Siestrzenicy cioteczńej X. Prymasa (Teodora Potockiego).

Monsieur mon Oncle

Comme je me Souvien que vous sed Monsieur de me proche Parent, et ausi de la Scivilité que vous me fitte, a Danzig, je vous fait Scavoir par celle cij, que je suis oblige de passer par la Ville de Danzig jenvié Prochain ver le 15 de ce Mois et comme vostre Paiis et tout opres, je ne pas peu m'enpechér, de vous l'avertir par un expres me Souhettent l'(honne)ur de vous voir a Danzig, quand j' y passeres, fort incognito, en vous de mendant vos sentiment, sur quelque chose qui m'et de grande consequance, jattenderais vos reponse ettent avec un veritable estime

Monsieur

Vostre tres Obligé

Catharina Princesse de Russie duchesse de Meclenbourg.

Dòmir d. 17 Decemb: 1721.

P. S.

je vous recommende
la secretesse par la mour
de moij.

Na ćwiartce cały własnoręczny.

ZDARZENIA.

I.
Sielanka z dnia na dzień.

Ocknął się Gustaw ze snu, przetarł oczy do słońca co zaglądało zza okien promieniem, wytężył się jakby po pracy, ziwnął, i ażeby nie próżnować zawił w cygaretko trochę turczyna i zapalił. Po chwili zrywa się chociaż dopiero siódma, ubiera i wychodzi do parku. Pora była piękna bo wiosna, poranek śliczny dyszał powietrzem cieplejszem, lilie kwitły, drzewa oblane rosą, łąki pełne woni, wszędzie słońce i radość, po krzakach spiew ptaszząt, na błoniu bydełko z dzwonkiem u szyi. W takiej porze chwyta za serce człowieka, rad bogu i ludziom, wita niebiosa i kogo zdybie, w duszy wyspiewuje psalmy wdzięczności sam nie wie komu, jak zwykle u tych co są szczęśliwi.

Gustaw świeży wyzwoleniec ze szkół, przyjechał przepędzić dwa miesiące w domu ojcowskim nim do Paryża odjedzie. Chłopiec miał rozum z duszą poety, pełen żywej imaginacyi zarywającej trochę w dziwaczność, zdrów przytem i wesoł, zgrabny we wszystkiem, do tego śmiałek gdy co upatrzył nie pofolgował; a nie zajęty niczem chwycić się mógł wszystkiego co los podrzucił, i im co bajeczniejszego, tem z większą ponętą szukał tego w rzeczywistości na przekor surowemu szkolnictwu, z którego się teraz wydobył. Taką duszę nudzą gazony; Gustaw popędził w najciemniejsze zakręty parku, gdzie kasztanowa ulica, a tu zastaje pannę Izabellę kuzynkę swoją. Kuzynka bawiła już od sześciu tygodni na zamku, ale w pałacu Gustaw zawsze mimo niej patrzył; w kasztanowej ulicy teraz jakieś natchnienie przenikło duszę, i uśmiech oblał mu usta. Czy on jej szukał? Bynajmniej, ręczę za to, chyba że się podoba wam miłość nazwać Izabellą. Ja wiem, tylko że w miłości rzecz-to obojętna: twarz i nazwisko; u niej wszystko jedno czy twarz wygląda jak róża albo jak lilia, czy jest blada albo rumiana; wszystko jedno czy jej nazwisko Marynetka albo Dyana, Łucya, Juana — miłość, mówię, niema ani twarzy ani imienia. Uwięziłyby ją dawno już były dewotki, gdyby miłość, ujemną twarz i nazwisko miała. Ale nie bredźmy; kobieta to jest w masce chodząca miłość; szczęśliwy kto tę maskę zdjąć umie. Gustaw żył dziś tylko natchnieniem serca; sercem rozpatrywał się po polach i po niebiosach, składał wiersze, bo serca tok mowy płynie w rytmach, a w rytmach mowa spiewa się, nie gada; spiewu od serca zaś zwrotka zawsze jedna i taż sama: chcę kochać, kocham, kochaj mię nawzajem!

Serduszko Izabelli miało lat siedmnaście, mądre na swój sposób, niczem niezajęte, pragnęło zajęcia; lubo w wielu rzeczach biegłe, w innych było ciemne, ale Mentor kusiciel, co się z żeńska nazywa „ciekawość“ a na wszystkiem się zna, podjął się je oświecić. A Mentor-to z niej bardzo światły, wie nawet czem każdy bilecik pachnie, czem każde słówko strzeliło i do kogo.

Gustaw zbliża się do Izabelli i widzi że prześliczna. W samej rzeczy ładniutka, płeć jak mleko biała, świeża jak kwiec na wiosnę, blondyneczka jak kłosek letni, a gadatliwa jak strumyk górski; potem i dla tego że w polu każda kobieta piękniejszą, a miłość co luba wszędzie, na polu jeszcze zwabliwsza. Poeci rozumieją to dobrze, i dla tego nie skąpią w swoich pismach ni łąk cienistych, ni wonnych wietrzyków, ani pominą szczebiotu ptaszząt i źródeł pomruku, często owszem ostu i głogu nasadzą. Rebekka spoczywa przy źródle; Melibeusz rozwodzi żale u cieniów dębowych; Rynaldo drzymie w ogrodach Armidy; Julię ukołysują fale błękitne jeziora; Chalkas przeprowadza Attalę wionącą w Sawanach. Bez drzewa i zdroju nie postąpi poeta, to jego oręż.

Izabella mówi: Dzień dobry Gustawie! pogląda z ukosa, uśmiecha się do siebie, gada troszkę lękliwie z początku i jakby od niechcenia. — Ah! moja Pani, na co tyle zachodu? wszak nie na grzyby wyszłaś tak rano; szukasz w lasku miłości, i wybrałaś dobrą ścieżeczkę tuszę, bo w twoim wieku jakąbądź drogą się puścisz, trafisz, choć nie do Rzymu, ale do serca zawsze.

Ręczę że serce Izabelli było dziś pewne spotkania; bo proszę, jak włosy wymuskane, co za stroik wyszukany, trzewiczki jak wabik wykwintne! a co słów w ustach! to zapas nie od dziś widać skarbiony, a wszystkie słodziutkie z przysmakiem setnym jak nadziewane cukierki. Mówcie co chcecie, ale jutrzenka takich rzeczy nie patrzy, a do pol-

nych koników nikt tak się nie wdzięczy. — Nękane jedno i drugie, obadwa serca wkrótce się porozumiały, i postanowiły szukać wzajemnej rozrywki; więc popod rękę Gustaw z Izabellą w dowód gościnnej sobie znajomości, gonią nie patrząc przed siebie.

Bije godzina śniadania; co godzina i śniadanie u takich przed którymi świat otworem. Chłopcze, mówią do ogrodniczka, powiedz we dworze, że idziemy do podstarościego, a wrócimy wieczorem. Bóg raczy wiedzieć czy kłamali i czy myśleli o podstarościm.

Chodźmy na śniadanie do młyna, mówi Gustaw.

Izabella poskoczyła z radości, i powtarza: Chodźmy do młyna.

Idą i nie pytają, gdzie, co i jak, zrywając tu meszek pod stopą, tam fijałek pod trawką. — Byle tylko deszczu nie było! — Idźcie, idźcie, uśmiechają się wam niebiosa, słoneczko sprzyja miłości. Deszcz może padać, i burza przyjść może, cóż z tego kiedy ochota idzie, i ochota towarzyszy; przy ochocie złego niema.

Piękne-to stadło, dwoje nieuków kiedy w pierwszym polocie na świat skrzydełek probują. Już-to kuzynki — rzecz wiadoma — zawsze miały powołanie uczyć kuzynów mądrości; ułatwiają im pierwszego rozwoju serca, i pragną ażeby nabrali doświadczenia i zdrowego rozsądku. Wiec oboje dobrze usposobieni, idą wesoło, raźnie, kuzynek z kuzynką, społem latek trzydzieści i pięć niespełna. Nic im nie dolega, sukienki ranne nie gniotą, więc ani skargi, ani przymusu, płynie rozmowa jak różany olejek. Choć się z nich które zamyśli, albo umilknie na chwilę, wnet coś ślina przyniesie i rozpieni, że się ztąd nowe potworzą pomysły, a dawne w wytworniejszej wystąpią barwie. Do zadziwienia zkąd się wziął ten rozum u nich, ta głębokość pojęcia literatury, sztuk nadobnych, filozofii i samej metafizyki; co przed okiem zwieścicieli mądrości świata wiecznie zakrytem było, o tem płyną im wywody jak z rąbka, bo młodość a miłość nie mają wątpliwości w niczem, na wszystko u nich jest rada. Jeśli przypadkiem coś rozrzewniło Izabelkę, zaraz i Gucio zesmutniał, i sposób podał: odkryć gdzie wyspę bezludną i pustelniczyć na niej, — ale pustelniczyć społem, rozumie się; — ja będę wypasała owieczki białe — ja będę zbierał kwiatuszki, motylki i znosił pasterce mojej! A pasterka, więc suszyć ząbki na zwody Dafnisia, pląsa by go lekkością swych stopek ująć, i spiewa ażeby jeszcze lepiej przynęcić. — Ah, zdrajczyni! — Cóż chcecie, kiedy taka zawsze pielgrzymka miłości.

Idą i idą, nie zliczyć kładek, płotów ile przeleźli, rowów ile przebrnęli, ani pamiętają pól, krzaków i gajów, którędy ścieżki wiodły; zabłądzić by przyszło, gdyby nie krzyż na drodze rozstajnej. Już wieków ośmnaście wskazuje krzyż drogę pielgrzymom zbłąkanym i podróżującej ludzkości. Stawiała go pobożność w miłosierdzia uczuciu, ażeby nas osamotnionych sprowadzać na drogę. Gustaw uchylił czapeczki, widać że nie filozof; dusze wielkiego hartu przechodzą nie schylając czoła; a lepiej by było, ażeby się płaszczyli troszkę więcej przed bogiem, a troszkę mniej przed ludźmi. Mój bohatyr wcale nie opoka, i gdyby nim był, już bym go był dawno osadził na piasku.

Nim przybyli do młyna, już by węzełka nikt nie rozplątał, pokochali się na prawdę jak para gołąbków. Nie miejcie proszę im tego za złe, że im tak spiesznie poszło. Pomnijcie że pierwsza miłość, to jak źródło albo chłodnik przy bitym gościńcu, należy temu, co pierwszy tam stanie. My Polacy, nie powiem śmieszni, ale w szczerej prostocie, jeszcześmy dalecy mety doskonałości; u nas miłość zawsze jedna, zawsze prosta, samosobna, nie znamy u niej mnogości, jak gdybyśmy „miłościami“ się nie sycili, w „miłościach“ nie żyli. Wstydźmy się za siebie; nasi mistrzowie Francuzi inne dają nam wzory, uczą nas różnych rodzajów miłości. Francuz, autor niniejszej powieści, sam dodaje: Należy wierzyć w „miłoście“ niespodziane, szczere, co spadają jak gwiazdy z nieba, zkąd i jak niewiedzieć, bez namysłu i bez obłudy. Należy wierzyć i w „miłoście“ lękliwe, tajone, niezwierne, co manowcami zachodzą zwolna, zalotem wymiarkowanym. Wreszcie wierzyć należy we wszelkie „miłoście“ i jeżeli jedne są lepsze, są i drugie nie zgorsze. Koniec końców przychodzi czas że się trzeba wynurzyć, więc na co zwlekać, lepiej co ma być od tego zacząć; jeśli ma bóg dać co dobrego, niechże pozwoli nie długo czekać, mówi przysłowie. Wam może zazdrość że Gustaw z Izabellą tak prędko siebie pojęli? brzydkie to uczucie zazdrość, raczej zostawmy ich niech się kochają na sposób jak rozpoczęli.

Młyn stał nad strumieniem wrzaskliwym a butnym nie wiedzieć z czego, wiecznie parskał i mruczał; cała okolica była malownicza. Młynarka przyjęła gości z całą szczerotą wiejską i raczyła państwo swoje mlekiem, masłem i serem, zupełnie na sposób jak bywało za Wirgilego. Izabella i Gustaw wygłodzili się dobrze, bo spacer powietrze zaostrzają apetyt, a i miłość przyczynia się, jak się spodziewam. Zajadali chleb razowy ze smakiem lepszym niż torty, popijali mlekiem nie patrząc brudu na kubku. Po uczcie, nowy spacer dołem młynówki; co robić? w ich stanie, znajdzie się zawsze; więc łowić raki, zastawiać siatkę na ryby. Dla kogo i na co? o to nie chodzi wcale; na myśli im bawić się, tulić, pomagać sobie, radzić, szczebiotać, żartować, podchodzić, zwodzić, pustować, przynęcać — rybki; wreszcie i koszyk stał napełniony.

Po tak uciążliwej pracy należało wypocząć, poszli szukać cieniu i pod rozłożystem zasiedli drzewem, a że Gustaw nie z łokciem wyszedł na pole tak rano, miał książeczkę przy sobie, ulubiony pod ów czas romansik czy poemat Chateaubrianda, więc czytać i rozczulać się wzajemnie. Wiadomo że w rozrzewnieniu dusza mięknieje, zmysły sprężystość tracą, Izabelce zatem główka się przechyliła, i oczko zasnęło. Śni się jej piękny kawaler, doprasza się o rękę, żeni się, oprowadza ją po zamku, po parku, po kraju, do Paryża wiezie, tam bale, koncerta, same rozrywki — ale... cóż za ale? Izabella przebudziła się, bo te „ale“ gdy zaczną we śnie nadchodzić, czysto jak na jawie, końca im niema.

Lecz co się umarzyło we śnie, to uzupełniała myśl dziewczęciu na jawie; Bóg cię nie na to tak piękną stworzył, i użyczył tak wybornej edukacyi, ażebyś się miała zasklepić między mieszczaństwem; tobie się ścielą kwiaty, perfumy, pałace, zbytki, roskosze, kwitną róże i złote promienie sypią — sen nie mara, pan Bóg nic na próżno nie zsyła, a opatrzność wie czego komu potrzeba. Co mam daleko szukać? wszak kawaler obok mnie! a ten pałac, park, młyn, łąka, rzeczka, to jego dziedzictwo po ojcu; dam mu rękę moją — jak mamę kocham, on mię godzien, a jak usłużny! patrzcie już wyprosił i klaczkę u mielnika ażebym piechotą nie wracała do domu.

Dosiadują rumaków, i w galop stare szkapy, młoda miłość i marzenia z niemi. Taka drużyna drogi nie patrzy, więc się pędziło, pole czy błonie, gościniec czy ścieżka, dusza w dal tylko patrzyła, stanęli na wzgórzu, ah, co za wspaniały widok! jaka rozległość nieprzejźrzana — jak miłość! — Wyrzekło się, spojźrzeli po sobie, i nic nie mówiąc dalej pędzili, bo się już pod noc miało, nawet trudno już było dopatrzyć, którędy szła droga.

Nie myślcie by ich noc zatrważała. Miły boże, co za śmieszność! Umieli śmiało stawić czoło światłościom słońca, miałażby ich zatrważać noc gwiezdzista z cichym poszeptem żywiołów swoich i tajemniczą swą rószczką? Owszem noc właśnie dla nich; nocą Romeo podchodzi pod balkon Julii, nocą Werther z Charlottą recytują ody Klopsztoka, nocą sposobią się plany, układy, traktaty, przymierza miłośne, nocą także zataczają się działa, oszczepy, łuki i narzędzia wojenne, a co do tego, to miłość w pokrewieństwie jest z wojną. Noc miałaby ich trwożyć! gdzie miłość, któraby się nie spowiadała gwiazdom? Dzień; to rzecz dla kupca, dla bankiera, dla mieszczana, dla mnie, dla ciebie; ale co noc to dla miłości. Jeśli nie wierzysz, sprobuj; oto patrol idzie: ciebie zągabi zaraz, ale kochankom da pokój. Moja rada, kładź się spać i spij zdrów; kiedy się nie kochasz, noc nie dla ciebie.

Noc mój panie, dla Gustawa i Izabelli, słuchaj jak się zwierzają, teraz już nie tym tonem co tętnił żartami we dnie, ale półgłoskiem czułym i drżącym od serca. W tej porze chcąc nie chcąc myśli poważnieją, wzrok tonie, słowo rzewnieje, i z pod ciemności nocnych wykala się serdeczność. Mądry Watteau nie darmo malował pastuszków zawsze w otoku samotności nocnej.

Ze zmrokiem spoważniały myśli Izabelce i Gustawowi, spoważniał i krok szkapom; droga była wązka, zbliżyli się wszyscy, ażeby nie było przypadku, czuwało jedno nad drugim, i gdzie przejazd wydał się niby przykrzejszy, podała się rączka całkiem na niemo i głucho bądź z szczerej przysługi, bądź żeby sobie dodać otuchy wzajemnie. A na dowód że ją powzięli, zanuciło się gdy dojeżdżali coś jakby „Juz miesiąc zeszedł“ lub coś podobnego, bo we dworze nie można było dobrze rozeznać, dosyć że Gustaw i Izabella ze spiewem wrócili do dworu.

Powiadają wróżki, że to co się śni na biało, należy wykładać na czarno; może to nie

zawsze prawda, ale na dziś ziściło się. Nazajutrz przyjechał ojciec po pannę Izabellę. Płaczu było i uścisków nie miara; a co przysiąg i zaklęcia! Szczęściem że Zefirki są miłosierne, osuszyły łezkę, uniosły westchnienia, zawiały przysięgę.

Trzej Religii założyciele.

Powieść indyjska.

Zeszli się raz w królestwie cieniów trzej dawni założyciele religii Budda, Kong i Lao, i roztrząsać zaczęli co z nich każdy zrobił i czego dokonał. Pokazało się ze wszystkiego, że źle z ludzkością na ziemi. Uradzili zatem zstąpić raz jeszcze na świat i wyszukać ludzi którzyby odświeżali zapomniane w pamięci naukę cnoty i sprawiedliwości.

Zeszli, i cóż? przetrzęśli kraje i miasta, a nie znaleźli komuby dzieła powierzyć. Więc puścili się na ślepo w stepy i puszcze, i unużeni zapragli ochłody. Właśnie postrzegli źródło, przy niem starca na straży.

Idź prosić kropli wody, mówią Kong i Lao do Buddy, wszak-ci to umiesz, kiedyś układał żebracką naukę.

A starzec pyta Buddy, ktoś ty?

Ja-m Szakiamuni, zwieściciel prawdy w krajach od zachodu słońca.

Ah, tyś sławny Budda, co z miłosierdzia słyniesz; tobie dać muszę wody, ale wprzód powiedz, dla czego wy Buddyści prawicie, że ludzie równi, a utworzyliście hierarchyę między sobą służebną, gorszą niewoli?

Budda pokłonił się i ustąpił.

Posunął Lao zręczniejszy.

A ktoś ty zapytał starzec?

Ja-m Laokium.

Znanyś mi — założyciel nauki Tao. Świetne imię twoje, i dostaniesz wody tylko odpowiedz: czy prawda, że posiadacie napój nieśmiertelności?

A prawda; wszak sam widzisz że-m nieśmiertelny.

Kiedy prawda, dla czego-żeś ty Laonie zaparł się miłości synowskiej, i dozwoliłeś ojcu twojemu umierać?

Trudna Laonowi zagadka, ustąpił także. Z dziadem nie poradzić, idź ty Kongo do niego.

Ktożeś ty jest? pyta Konga starzec.

Mnie-byś znać nie miał? Ja-m Kong Czoni rodem z Lu, wielki, mądry, jedyny.

Już cię poznaję, poznaję, tyś Kongce, mistrz w państwie niebieskiem. O nie zniosę byś pragnął, ugasisz pragnienie zaraz, tylko mi rozwiążesz jedno co u was nie pojmuję. Powiadasz w nauce twojej: „Nie odchodź domu, póki-ć rodzice żyją, a jeśli koniecznie musisz, osiądź gdzie stale, ażeby rodzice wiedzieli, gdzie jesteś.“ Dla czegoż ty włóczysz się z kraju do kraju. i na puszczę-ś się nawet przybłąkał, a rodzice nie wiedzą?

Odszedł i Kongo ze wstydem.

Wszyscy trzej potem zasiedli w radę, co począć z dziadem? Wola boża! mówi Budda; niedostaliśmy wody, ale dostali radę w czem nasze zbutwiałe nauki poprawić. Zatem wracają do starca i przed nim wylewają, co mają na sercu.

A starzec im na to: „Ależ moi panowie, przypatrzcie się wprzódy, kto ja jestem.“ Wszak-ci u mnie wierzch tylko żyje, a spód z kamienia. O cnocie i sprawiedliwości umiem szeroce prawić, ale za cnotą i sprawiedliwością nie zdążę.

Trzej mędrcowie przypatrują się, i poznają że w starcu — Symbol całej ludzkości.

Z bolem serca opuszczają ziemię i unoszą się za światy.

Kto jedzie z Lipska do Halli, niech na pierwszej stacyi w Szkenditz uważa herb tego miasteczka. Statua w stroju potępieńca bez głowy, zato trzyma głowę za uszy w rękach przed sobą. Zkąd zaś herb taki, tak opowiadają: Szkendycanie skazali na śmierć niejakiego Albana, posądzając go o pewną zbrodnię. Gdy Alban stanął na rusztowaniu, rzekł do ludzi: umieram niewinny, a na dowód, złapię po ucięciu moją głowę własnemi rękoma. I tak się stało. Po ucięciu złapał głowę swoją i pokazał ją ludowi. Na pamiątkę tego cudu, przyjęli Albana za herb miastu swemu.

Główny Redaktor M. Szrzeniawa Sartyni. *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*